



POSTĘP PRAWDZIWY.

Dużo się teraz mówi o „postępie“; to słowo każdemu się dziś obija o uszy i jest wielu ludzi, którzy w dobrej wierze sądzą, że wszystko co się dzieje w świecie a jest nowe i niebywałe, jest postępem. Tymczasem, zastanowiwszy się gruntownie, poznamy, że świat zmienił się tylko zewnątrz, bo mu przybyło mnóstwo wynalazków, z których jedne służą ku pożytkowi i ułatwieniu życia, jak koleje, telegrafy, telefony, maszyny itp. rzeczy; inne zaś tylko powiększają nieszczęścia, jak n. p. armaty, bomby, trucizny itd.

Ludzkność zaś sama przez ten postęp zewnętrzny, nie postąpiła ani na jeden krok w dobrem właściwym, którem jest cnota i miłość bliźniego.

Złe z dobrem odwieczną odbywa walkę, tylko że prawda i dobro od początku są jedne i niezmiennie, a złe przychodzi, że to świat cały inakszy się staje.

Dziś przechodzimy takie czasy, w których dużo ludzi, choć chrześcijanami są, cofnęło się do ciemnoty, do bezbożności pogańskiej, a czynią w bezrozumnem przekonaniu, że działają w imię „postępu“. Sprawdzają się tu słowa św. Pawła Apostoła: — „Ażeli nie głupią uczynił Bóg mądrość

tego świata?“ — Bo oto widzimy, że pomimo tego zewnętrznego postępu, narody dalej pożerają się jak szakale, silniejszy gnębi słabszego, przemyślny i majątny wyzyskuje dobrodusznego. Zasada pogańska: „Siła przed prawem“ uprawnia naszym wrogów do zagarniania nam własnej ziemi, do wynaradawiania i wszelkiej przemocy. Widzimy, jak w imię postępu, szerzy się, jak zaraza, bunt przeciw powadze Bożej i ludzkiej. A dzieje się to wśród krajów i społeczeństw chępiących się swą wysoką cywilizacją. To jest dowodem, że wynalazki różne nie zastępują prawdy Bożej od wieków objawionej i że drapieżna natura ludzka przejawia się zawsze i wszędzie, gdy religijność ustępuje, a zapanują rozszalałe namiętności.

Cóż zatem może uchronić ludzkność od zepsucia, a cywilizację od barbarzyństwa? Oto tylko duch Chrystusowy, który przetrwał wieki i trwa w Jego kościele i w sercach wiernych sług Jego. Ta prawda niezmienna i niepokonana, przetrwa wszystko na świecie i jest jedyną bronią, która nas od mameł fałszu oswobodzi.

Przez 20 stuleci walczył już Kościół Jezusowy z kłamstwem i namiętnościami, któ-

re pod rozmaitemi postaciami i hasłami, ludzkość wabią. Kto ugruntowany w wierze, ten się nie da ściągnąć na manowce i dlatego powinniśmy umacniać się w prawdzie bez przestanku, aby w niej wytrwać, mimo zwodniczych pokus.

Dziś pieniądz i chęć używania uciech i grozkoszy, stały się tą zdračną siecią, w którą wpadają dusze przez słabość i chciwość znęcone. Na cześć więc uciech, rozkoszy i bogactwa, głoszą dzisiaj hymny bezecne, a zakon Chrystusowy na bok się odrzuca, by nie krępował bezsumiennych wykroczeń. W naszych czasach też częściej słyszymy niestety, słowa: spryt, szczęście, dobry węż, mądra gra, wyzyskanie okoliczności — a coraz mniej: praca, umiejętność, gorliwość, sumienność, wytrwałość. Dziś rzadko mówią: dorobił się uczciwą pracą — ale: trafił mu się korzystny interes i grosz szybko zarobił. — Ale jak na tem inni wyszli, nikt nie pyta i jeśli ktoś został przez drugiego skrzywdzony, to powiadają: — Niechby się był pilnował, bo w interesie niema głupich skrupułów. —

W obec takich zapatrywań, które się dziś w przerażający sposób nawet wśród młodzieży rozszerzyły, rozwinęły się też i niezwykle stosunki. W interesach wytworzyła się niejako gorączka zaraźliwa, która ośładnęła umysły, przewrotni przemysłowcy usiłują wciągnąć do swych machinacyi ludzi nieraz uczciwych, ale charakteru słabego, którym zasmakowały kołacze bez pracy — i nieraz im się udaje ludzi tych złowić. Spekulacye na domy i grunta, oraz handel ziemią i oddawanie jej w ręce obce, dla miłego zysku, oto objawy tej roboty społecznej.

Oszuści i wydrwigrosze istnieli zawsze, ale nie w takiej liczbie, jak dzisiaj. Dość przejrzeć kroniki sądowe. Więc mimo owego hasła „postępu“, nigdy opór uczciwego społeczeństwa nie miał tyle do zniesienia trudów w walce, jak dzisiaj; nigdy robotnik z Bożej woli pracujący w pocie czoła, nie ugiął się pod jarzmem wyzysku tyle, co obecnie i nie odczuwał zabójczej przewagi drapieżnych blagierów i kłamców społecznych.

W obec tych smutnych warunków życiowych, spotykamy dziś często ludzi znieszczonych, przeżytych, zimnych, obojętnych i zwyrodniałych, w których ta choroba duszy zabiła poczucie prawdy.

Idźmy więc tylko za dobrym i prawdziwym postępem, który się w niczem nie sprzeciwia prawom Bożym, ale nas w nich doskonalą, a zbłąkanym braciom naszym, pędzącym na oślep w wir zatraty, wskazujemy jasną drogę prowadzącą do najświętszego celu życia.

Nie zginęła i nie zginie!

Nie zginęła i nie zginie,
Póki Wisła przez Nią płynie,
Co z Jej łona wody sączy
Żywą wstęgą w całość łączy...

Nie zginęła i nie zginie,
Jak słynęła, tak zasłynie
W pełnej sile majestacie,
Gdy się zbudzi lud ten w chacie...

Nie zginęło i nie zginie
Polskie życie w tej krainie,
Bo wróg nie ma tej trucizny
Co miłość truje Ojczyzny...

Nie zginęła, wiecznie żyje
Nikt jej życia nie zabije
Nawet Prusak, wróg piekielny,
Bo duch polski nieśmiertelny...

Jantek z Bugaja.



Pszczola i truteń.

„Poco jejmość codziennie wylatujesz w pole?“
Przyganiał ciężki truteń pracowitej pszczole
„Poco ta ciężka praca i tyle zachodu,
Gdy mamy dosyć w ulu zapaśnego miodu?
Niech pracuje kto musi, lecz kto ma dostatek,
Ten dla rozrywki z kwiatka przelata na kwiatek,
Ten gardzi marnym zyskiem i chlubi się z mienia,
Biedakom zostawiając trud i wysilenia.
Ja bujam wciąż wesoło, a brzęczę tak butnie,
Aby przecie wiadano, co umieją trutnie,
Wszystkim zaimponować, to nielada sztuka...“
Nie trafiła do pszczoły ta mądra nauka.
Po dawnemu, pracując od rana do nocy,
Znosiła wosk, miód, pyłek, co było w jej mocy.
A truteń jadł, pił, brzęczał przez calutkie lato.

Lecz zato,
Gdy przyszła jesień, wszczął się gwar radosny,
Gdy pszczoły na spoczynek szły do nowej wiosny;
Do rachunku, gdy trutnie wezwano brodate,
Wynbane z ulów, poszły na pewną zatrutę.
„A więc, panowie trutnie, raczcie zważać przecie,
Jakim porządkiem rzeczy dzieją się na świecie...
Wierzcie mi, jest to prawda, której nic nie zmieni:
„Po zmarnowaniu lecie — źle bywa w jesieni“.

J. L. Nowakowski.

ZEMSTA.

ZDARZENIE Z XI. STULECIA.

Hałas krzyk, jęki, przekleństwa i nawoływania zbliżały się jak burza z Via Ducale na ulicę Fiesolina. Z trzaskiem jęły się otwierać wszystkie okna przyległych domów, a z nich wynurzyły się głowy ciekawych Florentczyków... Dołem, ulicami biegły tłumy przechodniów i ulicznych próżniaków — jedni z niemym przestraszaniem na twarzach, inni z oczami błyszczącymi od żądzy wrażenia.

Na czele huczącego, jak fala, pochodu niosło dwu mieszczan ciężko rannego człowieka, którego twarzy, widocznie mieczem rozciętej, nie rozpoznać od krwawo strasznie broczącej. To już nie ludzka głowa, ale jeden krwi potok.

— Na ratusz z nim! Do podesty! — (burmistrza) krzyczał tubalnym głosem barczysty z siwą, rozwianą brodą Florentczyk, a

z pod krzaczystych brwi strzelały mu błyskawice wściekłości.

— Na ratusz z nim! Do podesty! — wtórzyć począł tłum cały, i pochód skierował się ku Borgo.

Od Borgo biegł naprzeciw zastęp miejskiej straży w łośowych kaftanach z kapiszonami na głowie, z ogromnemi, błyszczącemi halabardami w rękach. Nie wiedząc, o co się rozchodzi, w pierwszej chwili chcieli powstrzymać walący się tłum i halabardami zagradać ulicę, ale równocześnie niemal błysły sztylety ponad ich głowami. Starzec wiodący tłumy, w szarym aksamitnym żupanie i szerokim złocistym pasie, poskoczył jak tygrys ku miejskim pachołkom i zaciśniętą pięścią taki potężny cios wymierzył najbliższemu, że tenże zatoczył się w półkoło i runął na ziemię. Reszty dokonał tłum, wszystkich porywając ze sobą. Wtłoczyli się na plac ratuszowy, a z kampanili (dzwonicy) poczęło się odzywać dzwonienie „na trwogę”.

— Zemsta mordercy! Zemsta mordercy! — ryczał tłum pijany krwią, jak lwy w Koloseum, a ten straszny, złowrogi ryk rozbijał się i potężniał echem na wszystkich placu podsieniach... Koło ratusza aż czarno od ludzi, w najbliższem otoczeniu dolatują tylko z tego piekielnego gwaru okrzyki:

— Ależ on umiera!

— Obwiążcie mu rany!.. Wy go zabijacie!...

— Nie trzeba!... Niech widzą!

— Do sali radnej, do podesty!

Już się wdarli na szerokie marmurowe schody... tłocząc się i popychając, znacząc swój pochód krwią ciekącą z obwisłej głowy rannego człowieka... Aż nagle z hukiem rozwarły się rzeźbione drzwi Rady...

Tu już nikt nie rozróżni krzyków wtłaczającej się fali, ale przecie jeden z wielu piersi gromki okrzyk góruje:

— Zemsta mordercy Montefeltro!

Przepyszna i bogatemi makatami obwieszona sala radna florenckiego senatu nigdy jeszcze pewnie nie była świadkiem takiego widoku. Za ogromnym, szkarłatem okrytym stole siedziało trzydziestu radnych

florenckich, a na ich czele sędziwy podesto, Bernardino de Montefeltro.

Kiedy jedni z radnych od przerażenia w tył się cofali, a drudzy, nie mogąc uciec, starali się nadać swym twarzom wyraz kłamanego spokoju: sam jeden Montefeltro podniósł się w ogromnem swem złocistem krześle bez śladu obawy, ale za to z wyrazem zdziwienia. Lewą rękę zawiesił na złotym łańcuchu, co mu spływał po purpurowej, popielicami obszywanej delii, a prawą wsparłszy się o stół, nawet bez jednej zmarszczki na szerokiem czole, patrzył stółem okiem w ten tłum szalejący.

Tłum zaś złożony skrwawionego trupa na stole, krzyczał, tupał, groził, wymachiwał rękami i czapkami. Podesta stał i czekał; jednakowoż nie zanosiło się na to, by się miał doczekać... Groźny on a gwałtowny starzec, co stał na czele tego dziwnego rozruchu, piorunującym swym głosem przekrzyczał wszystkich:

— Boga i was, konsule, pozywam na świadków! krzyczał jak opętany. — Montefeltro zamordował mi syna!

Teraz dopiero zbłądł podesta, ściągnął brwi i ręką dał znak, że pragnie mówić.

— Który Montefeltro? twój syn Gilovanni! — huknął niepomahowany starzec i z podniesioną pięścią rzucił się w stronę podesty.

Zaledwie kilkunastu radnych, co się byli z krzesel porwali, przytrzymało szaleńca; podesta zaś pytał dalej podniesionym głosem;

— Kiedy syn mój zabił? Powiedzcie wszystko, bo ja o tem nic nie wiem. Sprawiedliwości musi stać się zadość, ale niechże będzie sprawiedliwa.

— Ha!... sprawiedliwości stanie się zadość! — powtórzył z gorzkim ironicznym śmiechem ojciec zamordowanego. Pewnie tak samo, jak zeszłego lata, kiedy tensam twój syn, ten sam łotr zamordował Bartolomea della Scala! Łotry jesteście!... Nie ma sprawiedliwości!

W tem koło wejścia do sali zrobił się taki ruch nagły a silny, jak kiedy wielki głaz rzucony w tonie, w tę i ową stronę rozpycha z szumem fale. Ponad całą rzeszą

u drzwi stojącą zawidniała potężna, wyrazista głowa o długich jasnych kędziorach spadających na zieloną tunikę. Urodziwy jakiś młodzian o silnej budowie torował sobie drogę przez zbitą masę ludu. Oczy błyszczały mu złowrogo, pierś dyszała jak miech, a on podobny do nieprzytomnego, szukając kogoś płomiennym wzrokiem, wołał:

— Gdzie Hugo? Gdzie brat mój?

Na ten krzyk drgnął piorunujący właśnie starzec i zwracając się do nadbiegającego młodzieńca, pochwycił go za ramię, przyciągnął do trupa i wskazując mu tę leżącą na stole szkarłatną od krwi postać, dodał:

— Oto nasz Hugo...

— Hugo! — ryknął młodzian i jak niedźwiedź zraniony rzucił się z jękiem na trupa.

Nastała teraz chwila względnej ciszy. Wszystkie oczy zwróciły się na tę rozdzierającą scenę. Tylko ojciec, choć mu ogromne łzy toczyły się po jagodach, szarpnął za ramię płaczącego syna i stawiając go na nogi, zawołał:

— Nie płakać ci teraz, ale pomścić brata i ród Gwalbertów! Tu, tu... przy tych skrwawionych zwłokach brata i wobec wszystkich obecnych, przysięgnij zemstę nieprzebłągalną!

— Przysięgam — zagrzmiał na to młodzian jak grom, prawicę w górę podnosząc — przysięgam na niebo i ziemię, że dopóty nie spoczne, dopóki zabójcy mego brata na sztuki nie porąbię!

To rzekłszy, pochwycił trupa, zarzucił go na ramię i ku drzwiom się pchając, wołał:

— Za mną, kto jeszcze serce ma! Ten krwawy sztandar zemsty pójdźmy obnosić po Florencyi! Zemsta mordercom!

Jak lawina z gór się waląca biegł na dół po schodach motłoch rozhukany. Już dopadali ulicy ze strasznym swym chorążyym na czele, kiedy nagle wszyscy stanęli. Cóż to?

Czy niebo się zgniewało na spełnioną zbrodnię, czy może chciało nowej przeskodzić, któż to odgadnie? Ale podczas

onych gwałtownych scen w ratuszu nikt nie spostrzegł, jak od zachodu nadciągnęły czarne, kłębiące chmury i jak szybko rozpełtała się burza. Kiedy deszcz lał jak z cebra, kiedy woda ulicami płynęła strumieniem, pioruny biły z dala i z bliska, a błyskawice jedne po drugiej oświecały i ten mrok nagły i to krwawe we drzwiach ratusza widowisko.

— Do domu! — zahuczał głos potężny z pomiędzy tłumu.

— Do domu! — krzyknął młody Gwalbert i z trupem brata na ramieniu rzucił się naprzód, brnąc w deszczu i wodzie i wiodąc za sobą zapalczywy orszak, oświecany łunami błyskawic.

* * *

W pałacu Gwalbertów na Via del Albergo trzy już miesiące cisza grobowa. Ojciec wyjechał do Padwy, a Jan, wierny strasnej przysiędze, z trzema oddanymi sobie krewniakami ugania po Włoszech za mordercą brata. Objechał całą Toskanę, był nawet w Genui, Medyolanie, Wenecyi i Bolonii, gdzie mieszkają krewni Montefeltrow, ale Giovani jakby się w ziemię zapadł...

W dżdżysty marcowy poranek gęsta mgła otuliła całą Siennę i jeszcze uroczystej dostrajała dusze do dnia boleści i żałoby. Był właśnie Wielki Piątek, pamiątka najdroższej chwili odkupienia, kiedy w te jakby zmarłe ulice Sienny wjeżdżało konno czterech zbrojnych rycerzy. Tentent i rzenie koni dziwne robiły wrażenie w tej ogólnej ciszy, a grupa jezdnych we mgle przybierała olbrzymie postacie, kiedy nagle w ciasnej uliczce koło Campo Santo krzyknął Lancelloto:

— Montefeltro! Montefeltro!

W okamgnieniu wszyscy czterej jeźdźcy poskoczyli ku postaci, co się koło nich chodnikiem chciała prześliznąć, zagrozdzi jej drogę i zuhuczały cztery dzikie gardziele, każdy na na swój sposób:

— Ha lotrze!... Tuś jest!... Giń jak pies!... Teraz śmierć twoja!...

Nie było ani myśli o ucieczce, ani chwili do stracenia. Montefeltro rzucił się

na kolana i rozkrzyżowawszy ramiona tyle tylko wyjęknąć potrafił w stronę Gwalberta, co właśnie miecz podnosił:

— Na śmierć Ukrzyżowanego... przebacz!...

Podskok rumaków, błysk mieczów, okrzyk zemsty i jęk rozpacz, wszystko to było dziełem jednej chwili... Ale przecież większą była potęga świętego zaklęcia, niż wściekłość mściwego serca... Na słowo o „Ukrzyżowanym“ wszystkie cztery miecze zatrzymały się w powietrzu... Gwalbert rzucił o ziemię mordercze żelazo, błyskawicą zeskoczył na ziemię, konwulsyjnie klęczącego Montefeltra pochwycił za ramiona i tłumiąc w sobie ból ogromny, jęknął z oczyma łez pełnymi:

— Świat cały nie mógłby mnie uprosić, ale dla Jezusa Ukrzyżowanego nie mogę ci odmówić... Niech On mi tak przebaczy grzechy moje!...

To rzekłszy, ze łzami rzucił się w objęcia zabójcy. Była to rzewna chwila, kiedy zdumiony Montefeltro leżał w objęciach płaczącego Gwalberta, a trzech towarzyszy zsiadłszy z koni, każdy z osobna składali mu na ustach pocałunek przyjaźni... Całe niebo przyglądało się temu widokowi...

W niemej uroczystej ciszy z powrotem do Florencji dojeżdżali nasi rycerze do kościoła św. Miniata. Drzwi od drogi stały otworem...

— Wstąpmy — szepnął Gwalbert.

Na kamiennej posadzce kruchty padło czterech na kolana przed ogromnym krzyżem, na którym wisiał Chrystus rozpięty.

Gwalbert podsunął się bliżej do krzyża i ciężko od wzruszenia pracując pierśmi przez łzy gorące wpatrzył się w bolesne oblicze Boskiego Zbawiciela... Co w tej chwili doń mówił kochającym sercem, nie wiadomo, ale nagle krzyknął i podniósł w górę ramiona.

To Jezus na krzyżu pochylił ku niemu miłośnie swą głowę na znak wdzięczności i przebaczenia — za przebaczenie swemu winowajcy...

Do dziś dnia jeszcze pokazują ten cudowny krucyfiks.

— Gwalbert?

Wstąpił do zakonu i został wielkim świętym, któremu Kościół wiernych oddaje cześć na ołtarzach.

Wybór krzyża.

(Legenda).

Szedł raz pielgrzym, z dalekiej wracał drogi. Gdy przebył wysokie góry, ujrzał przed sobą piękną dolinę, do której właśnie zdązał. Widząc się blizkim celu, usiadł chwilę na zielonej, wonnej murawie, chcąc nieco odpocząć, ale tak był zmęczony, że zaledwie zmrużył oczy, popadł w głęboki sen.

I dziwne miał we śnie widzenie.

Oto wielka jasność ogarnęła ziemię, promienie słońca stały się o wiele jaśniejsze, a naprzeciw pielgrzyma stanął — sam Pan Bóg.

Pielgrzym zadrżał z przerażenia, wnet jednak uspokoił się, a nawet odważył się prosić Boga o trochę szczęścia dla siebie.

— Panie, — zaczął nieśmiało — krzyż mój jest bardzo ciężki, upadam pod nim! Spraw, niech będzie lżejszym, bo inaczej, nie uniosę go. Przecie to w Twojej mocy. Zmiłuj się nademną!

— Dobrze — odrzekł mu Bóg.

W tej chwili zawiał silny wicher i pielgrzym uczuł się podniesionym w górę i niedługo potem ujrzał się na obszernej łące przepełnionej najrozmaitszymi krzyżami.

— Tu jest zbiór, wszelkich nieszczęść i cierpień — dał się słyszeć z góry głos Boga — wybierz sobie krzyż, który ci się najlżejszym wyda.

Pielgrzym zaczął starannie oglądać krzyże, ale nie mógł znaleźć żadnego, któryby uważał za odpowiedni dla siebie. Jeden był za długi, drugi za ciężki, inny za twardy, tamten miał za ostre brzegi — ale takiego, jaki by sobie chciał, nie było.

Smutny i zgnębiony, chciał już odejść, gdy w tem ujrzał krzyż ze zwykłego drzewa, którego poprzednio nie zauważył. Nie

wydał mu się, ani za wieiki, ani za ciężki. Wziąwszy go jednak czempredzej na barki, cóż zobaczył? — Oto, że był to właśnie krzyż, który dotąd nosił.

Teraz jednak, wydał mu się on lżejszym niż wprzód i dźwigał go dalej bez szemrania. Poznał, iż inni jeszcze cięższe mają kłopoty i cierpienia, a nikt nie dostaje krzyża nad swe siły i musi znieść to, co mu Bóg przeznaczy.

Złote ziarnka.

Zły człowiek jest jak dzban gliniany: łatwo go stłuc, trudno skleić; dobry zaś przypomina czaszę złotą: stłuc go trudno, ale łatwo naprawić.

—o—

Ważniejszą jest rzeczą dla nas, jak pojmujemy swój los, niż jaki ten los będzie.

—o—

Kto ufa Bogu, a pracuje
Ten prawdziwej nędzy nie poczuje.

—o—

Łatwo można popsuć szczęście drugim,
Lecz tego nie naprawić nawet życiem
[długiem.

—o—

Pamiętaj umysł stateczny zachować
Jeśli cię zaczniesz nieszczęście frasować.

Radę domowe.

Jak poznać nośne kury? Żywność i ruchliwość każdego stworzenia wskazuje nam w największej ilości wypadków na dobrą użyteczność danej sztuki. To samo odnosi się i do kur. Im kura jest więcej czynna, im więcej szuka i grzebie, tem pewniej powiedzieć możemy, że to kura nośna. Fakt ten łatwo wytłumaczyć. Najpierw kura taka, im więcej grzebie, tem i więcej

znajdzie, a znajduje przedewszystkiem najlepszy pokarm, bo robaki i ziarno, powtórnie nie zapasie się tak łatwo, jak kura leniwa. Kura tłusta, jak wiemy, nie jest nigdy nośną. Grzebanie zaś to naturalny sposób działający przeciw osadzaniu się tłuszczu. Dlatego też, patrząc na kilka kur już z góry po chęci do grzebania, możemy osądzić o ich nośności.

Czego niepowinniśmy zapominać przy wychowie drobiu? Krótka na to odpowiedź: piasku. Wyjaśnienie zaś takie: Oto zwierzęta wszystkie mają zęby, któremi rozdrabiają przyjęty pokarm. Ptak zębów nie posiada, a chcąc pokarm strawić i użytkować musi go przecież mieć w stanie płynnym. — Otóż jak wiemy pokarm, pobrany przez drób, dostaje się do wola, zwanego pospolicie „zawolem“. W wolu tem pokarm miękceje, a stąd w stanie rozmiękłym dostaje się do żołądka. Żołądek ptaka jest nader silny. Lecz sam nie potrafiłby dokonać wszystkiego tj. prędko zmiażdżyć pokarmu. Dlatego też drób nasz połyka kamyki, które na kształt kół młyńskich trą pokarm na papkę. Otóż drób chowany na swobodzie znajdzie kamyków dosyć. Inna sprawa z drobiem małym, chowanym w domu. Temu maleństwu również kamyk jest potrzebny. Braknie go bowiem, to żołądek nie trawi należycie, a nie przetrawiony pokarm powoduje boleści. Dlatego też powinniśmy zawsze trochę piasku rozsypać koło drobiu, zwłaszcza piskląt.

ŻARTY.

Załatwił się. Chłopiec kupił flaszeczkę atramentu, ale za nadto spiesząc się do domu, na środku ulicy wypuścił ją z ręki i atrament wylał się cały na ziemię. Zakłopotany chłopczyzna, stanął smutnie zadumany nad swoją szkodą.

— No czegoż dumasz, moje dziecko, — rzekł mu jakiś przechodzień, — już wypisałeś wszystek swój atrament, — teraz spokojnie możesz iść do domu!



Na raty

najnowszej konstrukcyi, ulepszone Singera maszyny do szycia, haftu i do wszelkiego przemysłu, z fabryk światowej sławy, poleca pierwszorzędna znana z rzetelności firma:

R. PAWŁOWSKI

w Krakowie, Rynek 18.

dostawca wielu Stowarzyszeń zarobk., Związku urzędników państw. i Centrali zakupu dla oficerów i urzędników.

Cenniki z historią maszyn darmo i opłatnie.

Uwaga: C. i k. austro-węg. konsulat stwierdził, że firma Singera C-o wyrabia swoje „oryginalne” maszyny w Wittenbergu, pruskiej prowincyi Brandenburg, zaś kierownictwo handlowe posiada w Hamburgu. Jestto więc firma niemiecka, którą „Straż Polska” zaliczyła do bojkotu.

Taniej niż wszędzie!

Znakomite płótna korozyńskie

i wszelkie inne wyroby tkackie. Również silne materye na ubrania, dla każdego stanu i na każdy czas poleca:

tkalnia Józefa Jórasza

„pod opieką Najśw. Rodziny”

w Koroźnie obok Krosna (Galicya).

Na żądanie, próbki z oceną darmo i opłatnie.

Cenniki i wszelkie próbki na żądanie gratis.

Dajemy stałe zatrudnienie

przez pracę na nowo opatentowanych płaskich maszynach do plecienia. Każdemu bez wyjątku, na wiek, pięć lub oddalenie nie są przeszkodą. Dzienny dochód od 2—4 kor. — i więcej w miarę udoskonalenia. Pisemnych wyjaśnień udziela:

„SAMOPOMOC” krajowe przedsiębiorstwo wyrobów trykotowych we LWOWIE ul. Zygmuntowska 9.

Nauka bezpłatna we Lwowie i na prowincyi. Warunki tak dogodne jak nigdzie!

Bardzo wygodne ze skórki irchowej

Pasy przepuklinowe

pojedyncze na lewą lub prawą stronę sztuka

K. 3. — Podwójne na dwie strony sztuka

K. 6. — wysyłka za zaliczką. Przy zamówieniach wystarczy podać objętość pasa.

Proszki odżywcze dla krów,

koni i świń, duże paczki po **K. 1.**

Fluid restytucyjny dla koni

$\frac{1}{2}$ litrowa flaszka **K. 1-50.**

3—3 poleca **droguerya**

Fr. Tanewskiego w Białej.

Cenniki na żądanie gratis i franco.

Sprzedają tanio

maszynę z formami blaszanymi do wyrobu dachówek i posadzek cementowych.

Oskar Haempel gospodarz Osiek

4—3 koło Oświęcimia.